

Michałko



BOLESŁAW PRUS

Michałko

Roboty przy kolei skończono. Podradczyk wypłacił komu co należało, oszukał kogo można i ludzie poczuli się rozchodząc, gromadami, każdy do swojej wsi.

Koło karczmy, która stała przy plancie¹, do południa było gwarno. Jeden obwarzan-kami napelniał kobiałkę², drugi kupował wódkę do domu, inny — upijał się na miejscu. Potem porobili zawiniątka z grubych płacht i, zawiesiwszy je przez ramiona, odeszli, wo-lając:

— Bywaj zdrów, „durny Michałku”!...

A on stał.

Został na szarym polu i nie patrzył nawet za swoimi, tylko na błyszczące szyny, które biegły aż tam, he! nie wiadomo dokąd.

Wiatr rozrzucał mu ciemne włosy, rozwiewał białą parciankę³ i z daleka przynosił — ostatnią zwrotkę pieśni odchodzących.

Wkrótce za krzakami jałowcu skryły się płachty, parcianki i okrągłe czapki. W końcu i pieśń umilkła, a on wciąż stał z założonymi rękoma, bo — nie miał dokąd iść. Jak ten zając, który w tej oto chwili przeskakuje szyny, tak on, chłopski sierota, gniazdo miał w polu, a szpiżarnię — gdzie Bóg da.

Za piaszczystym wzgórzem rozległo się gwizdanie, zakłębił się dym i zaturkotało. Nadjechał pociąg roboczy i zatrzymał się przed niewykończoną stacją. Otyły maszynista i jego młodziutki pomocnik zeskoczyli z lokomotywy i pobiegli do karczmy. To samo zrobili brekowi⁴. Został tylko inżynier, który przypatrywał się, zamyślony, pustej okolicy i przysłuchiwał szmerowi pary w kotle.

Chłop znał inżyniera, więc uklonił mu się nisko, do ziemi.

— A to ty, „durny Michałku”! Cóż tutaj robisz? — zapytał inżynier.

— Nic, panie! — odparł chłop.

— Dlaczego nie wracasz do wsi?

— Nie mam po co, panie.

Inżynier zaczął nucić, a potem rzekł:

— Jedź do Warszawy. Tam zawsze znajdziesz robotę.

— Kiedy nie wiem, gdzie to.

— Siadaj na wagon, to się dowiesz.

„Durny Michałko” skoczył na wagon, jak kot, i usiadł na stosie kamieni.

— A pieniędzy trochę masz? — spytał inżynier.

— Mam panie rubla i czterdzieści groszy i złoty dziesiątkami...

Inżynier począł znowu nucić i oglądać się po okolicy, a w lokomotywie wciąż warczało. Wreszcie z karczmy wybiegła obsługa pociągu, z butelkami i węzełkami. Maszynista i jego pomocnik siedli na lokomotywę — i ruszono.

O jaką milę drogi stąd, na zakręcie, ukazały się dymy i wieś uboga, zbudowana między błotami. Na jej widok Michałko ożywił się. Zaczął się śmiać, wołać (choćby go nie usłyszano z takiej odległości), machać czapką... Aż jadący na wysokim koźle brekowi ofuknął go:

— A ty się czego wychylasz? Jeszcze zlecisz, i diabli cię wezmą...

¹plant — teren, po którym bieżą tory kolejowe. [przypis edytorski]

²kobiałka — nieduży koszyk. [przypis edytorski]

³parcianka — ubranie z płótna parcianego. [przypis edytorski]

⁴brekowi (daw.) — hamulcowy. [przypis edytorski]

— Bo to nasza wieś, panie, o tam o!...

— No, więc kiedy wasza, to siedź spokojnie — odparł brekowy.

Michałko usiadł spokojnie, jak mu kazano. Tylko że go coś bardzo nudziło w sercu, więc zaczął mówić pacierz. Ach! Jakżeby on wrócił do swojej wsi, z gliny i słomy ulepionej, tam — między błota... Ale nie miał po co. Choć go nazywali „durnym”, tyle przecie rozumiał, że na świecie mniej przymiera się z głodu i łatwiej o nocleg, aniżeli na wsi. O! Na świecie chleb jest bielszy, na mięso można choć popatrzeć, domów więcej i ludzie nie tacy mizerni, jak u nich.

Wymijali stację za stacją, zatrzymując się tu dłużej, tam krócej. O zachodzie słońca kazał inżynier dać chłopu jeść, a on za to — do nóg mu się uklonił.

Wjechali w nową całkiem okolicę. Nie było tu rozlewających się bagien, ale wzgórzyste pola, kręte i szybko płynące rzeczki. Znikły kurne chaty i stodoły plecione z wici, a ukazały się piękne dwory i murowane budynki, lepsze niż u nich kościoły — albo karczmy.

Nocą stanęli pod miastem, zbudowanym na górze. Zdawało się, że domy włożą jeden na drugi, a w każdym tyle światła, co gwiazd na niebie. Na stu pogrzebach nie zobaczyłby tyłu świec, co w tym mieście.

Grało coś bardzo pięknie, ludzie chodzili tłumem, śmiejąc się i rechocząc, choć już była taka noc wielka, że we wsi słyszałbyś tylko wołanie upiora i ujadanie strwożonych psów.

Michałko nie zasnął. Inżynier kazał mu dać funt kielbasy i bułkę chleba, a potem — przepędzili go na inny wagon, który wiozł piasek. Było tu miękko, jak w puchu. Ale chłop nie kładł się, tylko siedział w kuczki, jadł kielbasę z chlebem, aż mu oczy wylazły na wierzch, i myślał;

— Nie bój się, jakie to są dziwne rzeczy na świecie!...

Po kilkugodzinnym postoju, nad ranem, pociąg ruszył, i jechali truchtem. Na jednej stacji, wśród lasu, zatrzymali się dłużej, a brekowy powiedział chłopu, że inżynier pewnie wróci nazad⁵, bo przyszła po niego depesza.

Istotnie inżynier zawołał do siebie chłopą.

— Ja muszę jechać na powrót — rzekł.

— A ty sam czy puścisz się do Warszawy?

— Bo ja wiem! — szepnął chłop.

— No, przecie nie zginiesz między ludźmi?

— Komu ja, panie, zginę, kiedy nie mam nikogo?...

Rzeczywiście, komu on miał zginąć!

— A więc jedź — mówił inżynier. — Tam, zaraz przy stacji budują nowe domy. Będziesz nosił cegłę i nie umrzesz z głodu, byleś się nie rozpił. Potem może ci być lepiej. Na wszelki wypadek masz rubla.

Chłop wziął rubla, uściśnął inżynierowi kolana i usiadł na swój wagon z piaskiem.

Wnet ruszyli.

W drodze zapytał brekowego:

— Daleko stąd, panie, do naszej stacji?

— Chyba ze czterdzieści mil. Czy ja wiem!

— A piechotą, panie, długo by szedł?...

— Może ze trzy tygodnie. Wreszcie nie wiem.

Niezmierny strach ogarnął chłopą. Po co on puścił się nieszczęśliwy tak daleko, że aż trzy tygodnie iść potrzeba do domu!...

W ich wsi opowiadano nieraz o parobku, co go wicher porwał i prędzej, niż przeżegnać się można, zaniósł i cisnął o dwie mile — już trupa. Czy z nim nie stało się to samo? Czy ta maszyna, ziejąca ogniem, której boją się starzy ludzie, nie jest gorsza od wichru?... A gdzie go ona wyrzuci!

Na tę myśl schwycił się krawędzi wagonu i zamknął oczy. Teraz uczył, jak go niesie, jak strasznie huczy, jak go wiatr bije po twarzy i śmieje się: hu! hu! hu!... Hi! hi! hi!...

Porwał go dopiero burza, porwała!... Tyle, że nie od matki, ani ojca, ani od własnej chaty, tylko z pola sierotę.

⁵nazad (gw.) — z powrotem. [przypis edytorski]

Rozumiał, że jest z nim coś niedobrze, ale — cóż na to poradzić? Źle mu jest, gorzej mu pewnie będzie, lecz że już było źle, gorzej i najgorzej, więc otworzył oczy i puścił się wagonu. Taka wola Boska. Od tego on przecie biedny chłop, żeby dźwigał nędzę na karku, a w sercu obawę i żal...

Lokomotywa przeraźliwie zagwizdała. Michałko spojrzął przed siebie i zobaczył z daleka jakby las domów, zasnutych płachtą dymu.

— Czy to pali się gdzie? — zapytał brekowego.

— To Warszawa!...

Chłopa znowu ścisnęło za piersi. Jak on tam ośmieli się wejść w ten dym?

Stacja. Michałko wysiadł. Pocałował brekowego w rękę i rozejrzawszy się, poszedł z wolna do sklepu, gdzie na szyldach wymalowane były kufle z czerwonym piwem i zielona wódka we flaszках. Nie ciągnęła go tam pijatyka, lecz co innego.

Za szynkiem widać było murujący się dom, a przed sklepem stali mularze. Więc przypomniał sobie radę inżyniera i poszedł zapytać o robotę.

Mularze, chwaty chłopcy, powaleni wapnem i cegłą, sami go zaczepili.

— A cóżes ty za jeden? A skądęs to? Jak twojej matce na imię?... Kto ci taką czapkę uszył?

Jeden ciągnął go za rękaw, drugi mu czapkę wbił na oczy.

Parę razy obrócili go w kółko, tak, że nie wiedział już, skąd przyszedł.

— Skądęs to, chłopaku?...

— Z Wilczołyków, panie! — odparł Michałko.

Ale że mówił śpiewającym głosem i miał minę bardzo zakłopotaną, więc mularze poczuli się chórem śmiać.

On stał między nimi i, choć go trochę poniewierali, śmiał się także.

— To ci dopiero wesoły naród, nie bój się! — myślał.

Ten jego śmiech i uczciwa mina przejednały mu ludzi. Uspokoili się, zaczęli go wypytywać. A gdy powiedział, że szuka roboty, kazali mu iść za sobą.

— Głupi bestia, ale zdaje się, że dobry chłopak — mówił jeden z majstrów.

— Trza go wziąć — dodał drugi.

— A wkupisz się ty? — pytał Michałka czeladnik.

— Kiedy nie wiem jak?

— Postawisz garniec wódki — dodał drugi.

— Albo dostaniesz basarunek⁶! — wtrącił trzeci ze śmiechem.

Po namyśle chłop odparł:

— Jużci wolę dostać, niż dawać...

Mularzom się i to podobało. Wsunęli mu znowu parę razy czapkę na oczy, ale ani upominali się o wódkę, ani mu nie sprawili basarunku.

Tak, zabawiając się, zaszli na miejsce i wzięli się do roboty. Majstrowie wleźli na wysokie rusztowania, a dziewczuchy i wyrostki zaczęły cegłę nosić. Michałkowi, jako nowotnemu⁷, kazano przerabiać gracą wapno z piaskiem.

Tym sposobem zaciągnął się do mularki.

Na drugi dzień dali mu do pomocy dziewczuchę, tak ubogą, jak on. Za całe odzienie miała starą chustkę, dziurawą spódnicę i koszulinę — pożał się Boże! Nie była wcale ładna. Miała śniadą i chudą twarz, nos krótki, zadarty i niskie czoło. Ale Michałko nie był wybredny. Ledwie stanęła przy nim z gracą, zaraz nabrał do niej ciekawości, jak zwyczajnie chłop do dziewczuchy. A kiedy spojrzęła na niego spod wypłowiałej chustki, uczuł, że mu jakoś ciepło w środku. Nawet ośmielił się tak, że do niej zagadał:

— Skądęście to? Z dalekaście od Warszawy? Dawno robicie z mularzami?

O takie ją tam rzeczy wypytywał, mówiąc: *wy*. Ale że ona zaczęła mu mówić: *ty*, — więc i on jej — *ty*.

— Nie męcz się — mówił — już ja zrobię i za ciebie, i za siebie.

I robił sprawiedliwie, aż się z niego pot lał strumieniami; a dziewczyna tylko suwała gracą — po wierzchu wapna tam i na powrót.

⁶basarunek (daw.) — chłosta, baty. [przypis edytorski]

⁷nowotny — nowy. [przypis edytorski]

Od tej pory chodzili dwójką przez cały dzień zawsze razem i zawsze sami. Niekiedy łączył się z nimi jeden czeladnik. Dziewusze nawymyślał, z chłopą nakpił i tyle. Wieczorem zaś Michałko zostawał spać w murującym się domu, bo nie miał gdzie, a jego towarzyszą szła w miasto, razem z innymi i z owym czeladnikiem, który jej wciąż wymyślał, a czasem i dał w kark.

— Czegoś nie lubi dziewczuchy — mówił sobie Michałko. — Ale trudna rada! Od tego przecie jest czeladnik, żeby nas poszturgiwał...

Za to on starał się jej wynagradzać krzywdę, jak umiał. Robił wciąż za siebie i za nią. Na śniadanie dzielił się z nią chlebem, a na obiad kupował jej barszczu za pięć groszy, bo dziewczucha prawie nigdy nie miała pieniędzy.

Gdy przeznaczili ich do noszenia cegieł na górę, chłop nie mógł już wyręczać swojej przyjaciółki, bo jej pilnowali majstrowie. Ale po giętkich rusztowaniach chodził za nią krok w krok, a jak się bał, ażeby nie potknęła się, i żeby cegły jej nie przywaliły!

Widząc taką troskliwość chłopą, ów zły czeladnik drwił sobie i pokazywał go innym. Inni się także śmieli i krzyczeli na Michałka z góry:

— Na, głupi, na!...

Raz, w południe, odwołał czeladnik dziewczkę na bok, czegoś od niej chciał, nawet poturbował ją mocniej, niż zwykle. Po tej rozmowie, splakana, przyszała do Michałka, pytając: czy nie ma pożyczyć jej dwudziestu groszy?

Czegożby on dla nie miał! Więc prędko rozwiązał węzełek, gdzie były pieniądze, przywiezione jeszcze ze stacji, i dał jej żadaną sumę.

Dziewucha odniosła dwadzieścia groszy czeladnikowi, i od tej pory nie było prawie dnia, ażeby jej chłop nie pożyczał na wieczne oddanie. A kiedy zapytał raz nieśmiało:

— Na co ty dajesz pieniądze temu piekielnikowi?

— A bo już tak! — odparła.

Jednego dnia czeladnik pokłócił się z pisarzem i rzucił robotę. Nie dosyć, że sam rzucił, ale jeszcze kazał dziewczynie, jakby jakiej służce, zrobić to samo — i iść za nim.

Dziewczyna zawahała się. Lecz, gdy pisarz pogroził, że jeżeli nie dotrzyma do wieczora, to nie zapłaci jej za cały tydzień, wzięła się znowu do cegieł. Prostemu człowiekowi miły jest przecie grosz, jeszcze zapracowany tak krwawo.

Czeladnik wpadł w złość.

— Idziesz, psia wiaro — krzyczał — czy nie idziesz?

— Jakże pójdę, kiedy mi nie chcą zapłacić? Dobrze by było za tego rubla spódnicyne sobie przynajmniej kupić!...

— No! — wrzasnął czeladnik — to teraz że mi się na oczy nie pokazuj, progę nie przestap, bo cię na śmierć zabiję!...

I poszedł ku miastu.

Wieczorem, jak zwykle, mularze rozbiegli się. W nowym domu został na nocleg Michałko i — dziewczucha.

— Nie idziesz? — spytał ją chłop zdziwiony.

— Dokądże pójdę, kiedy powiedział, że mnie wygna!...

Teraz dopiero Michałko zaczął się czegoś domyślać.

— Toś ty z nim siedziała? — rzekł z odcieniem żalu w głosie.

— A jużci — szepnęła zawstydzona.

— I jemuś wszystek swój zarobek oddawała, choć cię bijał?...

— A ino...

— Po cóżeś ty tak paskudnie robiła?...

— Bom go lubiła — odparła cicho dziewczka, kryjąc się między słupy rusztowań.

Chłopu stało się tak, jakby go kto nożem kolnął⁸. Nie darmo ludzie śmieli się z niego!...

Michałko przysunął się do dziewczki.

— Ale teraz nie będziesz go lubić? — zapytał.

— Nie! — odparła i zaczęła rzewnie płakać.

— Ino mnie będziesz lubić?

— Tak.

⁸kolnąć (pot.) — dźgnąć. [przypis edytorski]

— Ja cię nie będę rozbijał, ani twoich pieniędzy zabierał.
— Jużci prawda!
— Ze mną będzie ci ładniej...
Dziewucha nie odpowiedziała nic, tylko płakała jeszcze mocniej i trzęsła się.
Noc była chłodna i wilgotna.
— Zimno ci? — spytał chłop.
Posadził ją na kupie cegieł, szlochającą. Zdjął parciankę i otulił dziewczuchę, a sam został w jednej koszuli.
— Nie płacz!... Nie płacz! — mówił. — Tylko jedną noc przesiedzisz tak. Masz przecie rubla, to jutro wynajmiemy za niego stancję, a spódniczynę ja sam kupię ci za swoje. Ino nie płacz...
Ale dziewczucha nie zważała na to, co mówił Michałko. Podniosła głowę i słuchała. Zdawało jej się, że z ulicy dolatuje odgłos znajomych kroków.
Stąpanie zbliżało się. Jednocześnie ktoś zaczął gwizdać i wołać:
— Chodź do domu... Ty!... Gdzie tam jesteś?
— Tu jestem — zawołała dziewczucha, zrywając się.
Wybiegła na ulicę, gdzie stał czeladnik.
— Tu jestem! — powtórzyła.
— A pieniądze masz? — spytał czeladnik.
— Mam! O tu... Naści! — rzekła, podając mu rubla.
Czeladnik schował rubla do kieszeni. Potem chwycił dziewczukę za włosy i zaczął ją bić, mówiąc:
— A na drugi raz słuchaj się, bo cię za próg nie puszcę...
Rublem się nie wykupisz... A słuchaj!... A słuchaj! — powtarzał, okładając ją pięściami.
— O dla Boga!... — wołała dziewczka.
— A słuchaj!... A słuchaj, co ci każe...
Nagle puścił dziewczuchę, czując, że go ujęła za kark potężna ręka. Z trudnością odwrócił głowę i zobaczył roziskrzona oczy Michałka.
Czeladnik był chwata Mazur, więc grzebnął Michałka pięścią w łeb, aż mu w uszach zadzwoniło. Ale chłop nie popuścił mu karku. Owszem, ścisnął jeszcze lepiej.
— A uduś mnie, ty złodziejski portrecie... to zobaczysz! — stęknął chrapliwym głosem czeladnik.
— To jej nie bij! — rzekł chłop.
— Nie będę — mruknął i wysadził język.
Michałek otworzył garść, a czeladnik aż się zatoczył. Złapał kilka razy powietrza, a potem przemówił:
— Kiedy nie chce, żebym ją bił, to niech za mną nie chodzi. Lubi mnie, to i owszem, ale ja biję, bo mam taki obyczaj!... Co mi po dziewczce, żeby jej walić nie można?... Niech idzie na złamanie karku!
— To pójdzie... Wielka rzecz! — odparł chłop.
Ale dziewczucha złapała go za rękę.
— Daj ty już spokój — mówiła do Michałka, drżąc i ściskając go. — Nie mieszaj się między nas...
Chłop oniemiał.
— A ty chodź do domu — rzekła do czeladnika, biorąc go pod ramię. — Co cię tam ma kto poniewierać na ulicy...
Czeladnik wyrwał się jej i rzekł ze śmiechem:
— Idź sobie do niego! On cię nie będzie bił... On ci przecie pieniądze dawał...
— Ii!... Daj mi tam spokój... — ofuknęła dziewczucha i poszła naprzód.
— Widzisz, z babą trzeba jak z psem!... — rzekł czeladnik, wskazując dziewczuchę.
— Wal ją, a ona za tobą w ogień pójdzie...
I zniknął. Tylko w ciszy nocnej rozlegał się jego śmiech złośliwy.
Chłop stał, spoglądał za nimi, przysłuchiwał się. Następnie wrócił między rusztowania i patrzył na to miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała dziewczucha.

W głowie czuł zamęt, a piersiami nie mógł tchu złapać. Ledwie co powiedziała mu, że tylko jego będzie lubiła — i zaraz odeszła. Dopiero co — on był tak szczęśliwy, tak było tu dobrze z żyjącą istotą, jeszcze z dziewczuchą, a teraz — jak pusto i smutno!

Dlaczego ona odeszła?... Jużci dlatego, że taka jej wola, tak jej się podobało!... Cóż on na to poradzi, chociaż jest dobry i silny?... Instynktownie szanował jej przywiązanie do czeladnika, nie gniewał się, że daną mu obietnicę złamała, nie myślał narzucać gwałtem swoich uczuć. Ale pomimo to, tak mu było żal jej, tak było żal...

Wyżartymi przez wapno rękoma otarł oczy i podniósł swoją parciankę, rozrzuconą na stosie cegieł i jeszcze jakby ciepłą. Wyszedł znowu na ulicę, postął tam.

Nic nie widać, tylko wśród mgły połyskują czerwone ogniki latarń.

Wrócił między chłodne mury i legł na ziemi. Ale zamiast spać, wdychał ciężko, samotny, tęskniący do swojej dziewczuchy.

Do swojej, bo ona przecie sama powiedziała mu, że tylko jego będzie lubiła.

Nazajutrz wziął się chłop, jak zwykle, do roboty.

Ale szła mu niesporo⁹. Był znużony, a i ten budynek jakoś mu obmierzył. Gdzie stąpił, czego się dotknął, na co spojrzął, wszystko przypominało mu dziewczuchę i gorzki zawód. Ludzie także kpili z niego i wołali:

— A co, głupi Michałku, prawda, że drogie dziewczki w Warszawie?

Drogie, bo drogie! Chłop wydał na swoją wszystkie oszczędności, przymierał z głodu, nic sobie nie sprawił, nie miał z niej żadnej pociechy, i jeszcze go tak brzydko opuściła.

Źle mu tu było, wstyd. Więc gdy usłyszał, że w Warszawie lepiej płacą pomocnikom mularskim, wybrał się tam, pierwszy raz.

Szedł za jednym czeladnikiem, który obiecał zaprowadzić go na ulicę, gdzie najwięcej stawiają domów.

Wybrali się wczesnym rankiem i tęgi kawał czasu sunęli się do Wisły. Chłop, kiedy zobaczył most, aż gębę otworzył. Na tę chwilę i dziewczucha wywietrzała mu z głowy.

Przy budce strażniczej zawahał się.

— Co ci to? — spytał ów czeladnik.

— Nie wiem, panie, czy mnie tędy puszcza? — odparł Michałko.

— Głupiś! — zgromił go czeladnik. — Jakby cię kto zaczepił, to mu powiesz, że idziesz ze mną!

— Jużci prawda — pomyślał chłop i dziwił się, że mu taka odpowiedź pierwiej nie przyszła do głowy.

Potem dziwił się łazienkom i berlinkom¹⁰, że nie tonęły na wodzie, choć wielkie, a potem nie mógł dać wiary, że cały most był z czystego żelaza.

— Musi w tym być jakieś złodziejstwo — mówił do siebie. — Tyle żelaza, to chyba na świecie nie ma!...

Tak sobie szli, czeladnik i Michałko, jeden za drugim, przez most, przez Nowy Zjazd, przez ulice. Koło Zamku chłop zdjął czapkę i przeżegnał się, myśląc, że to kościół. Przed Bernardynami mało go omnibus¹¹ nie rozjechał. Przed figurą Matki Boskiej, obok Dobroczywności, chciał uklęknąć i mówić pacierz, tak, że ledwie odciągnął go czeladnik.

Na ulicach hałas, powozów szeregi, ludzi tłum. Michałko jednym ustępował z drogi, na innych wpadał i aż błądł ze strachu, żeby go nie wyprali. W końcu w głowie mu się na szczęt zamąciło — i zgubił czeladnika.

— Panie!... Panie! — począł krzyczeć zrozpaczony i pędem biegł przez ulicę.

Któs go zatrzymał, mówiąc:

— Cicho ty sobaka¹²!... Tu krzyczeć nie wolno!

— A bo mi mój pan zginął!

— Jaki pan?

— Czeladnik mularski.

— O to pan!... A gdziez tobie potrzeba?

— Tam, gdzie dom murują...

— Jaki dom?

⁹niesporo (daw.) — trudno, powoli. [przypis edytorski]

¹⁰berlinka — niewielka barka rzeczna. [przypis edytorski]

¹¹omnibus — duży pojazd konny. [przypis edytorski]

¹²sobaka (ros.) — pies. [przypis edytorski]

— Taki... z cegły — odparł chłop.
— Ot głupi!... No, to i tutaj dom murują... I tam i tu!
— Kiedy nie widzę...

Wzięto go za ramię i zaczęto pokazywać.

— O patrz! Tu jeden dom budują... Tu drugi...

— Aha! Ha! — rzekł Michałko i poszedł do tego drugiego, bo nie trzeba było przebiegać przez ulicę.

Dobrawszy się na miejsce, zapytał o czeladnika. Tu go jednak nie znalazł, więc wskazano mu inny dom. Ale i tam o czeladniku Nastazym nie słyszano; musiał przeto chłop iść dalej.

Tym sposobem obiegł kilka ulic i obejrzał kilkanaście rozpoczętych budowli, pytając w duchu: gdzie mieszkają ci ludzie, co im dopiero teraz domy murują?

Stopniowo oddalał się od środka miasta. Gwar uliczny słabnął, przechodnie ukazywali się rzadziej, powozów prawie nie było. Za to liczba rusztowań, stosów cegieł i czerwonych murów powiększyła się.

Chłop stracił już nadzieję znalezienia czeladnika i pomyślał o wyszukaniu roboty.

Wstąpił do pierwszej fabryki przy drodze, stanął między robotnikami i patrzył. Czasami wmieszał się do rozmowy, albo komu usłużył. Jednemu pomógł układać cegłę, drugiemu podał szaflik, a tym, którzy gracowali wapno, powiedział, że nie tak się robi, tylko tak. I zaraz pokazał, aż ochlapał majstra od stóp do głowy.

— Co się tu kręcisz, kundlu jakiś? — zapytał go pisarz.

— Roboty szukam, panie.

— Tu nie ma dla ciebie roboty.

— Nie ma teraz, to może znajdzie się potem. A państwu przecie nie ubędzie, jak któremu pomogę.

Pisarz, sprytna sztuka, zmiarkował, że chłop nie musi pachnąć groszem. Wyjął swoją książeczkę, ołówek, zaczął przekreślać, rachować — i w końcu przyjął Michałka.

Ludzie mówili, że zarabiał na nim dwadzieścia groszy dziennie — *extra*.

W tej fabryce był chłop do jesieni. Z głodu nie umarł, za nocleg nie zapłacił, ale też nawet butów sobie nie kupił. Tyle tylko, że upił się parę razy przy świętej niedzieli, jak wieprzak. Chciał nawet awanturę zrobić w szynku, ale mu czasu zabrakło, bo go wyrzucili za drzwi.

Dom rósł jak rzeżucha. Jeszcze oficyn nie wykończyli mularze, a już front był dachem obity, otynkowany, oszklony, i nawet ludzie zaczęli się sprowadzać.

W końcu września rozpadały się deszcze. Robotę przerwano i pomocników odprawiono. W ich liczbie był Michałko.

Pisarz z tygodnia na tydzień urywał mu coś z płacy, mówiąc, że razem odda. Gdy zaś przyszedł obrachunek ostateczny, chłop, choć niepiśmienny, zmiarkował, że go chyba pisarz oszwabił¹³. Dał mu trzy ruble, a należało się z pięć, albo i ze sześć.

Michałko wziął trzy ruble, zdjął czapkę i zaczął skrobać się w głowę, przestępując z nogi na nogę. Ale pisarz był tak zajęty swoją książeczką, że ledwie w dziesięć pacierzy spostrzegł chłopca i spytał go surowo:

— No, czego jeszcze chcesz?

— Musi, panie, mnie się więcej należy — rzekł chłop z pokorą.

Pisarz zaczerwienił się. Wlazał na Michałka i potracił go piersiami i powiedział:

— A paszport ty masz?... Coś ty za jeden?...

Michałkowi zamknęło gębę; pisarz mówił dalej:

— Ty może myślisz, chamski gnacie, żem ja cię nakręcił?..

— A ino...

— Więc chodź ze mną na policję, a ja ci tam dokumentnie pokażę, żeś ty złodziej i obieżyświat...

Paszport i policja zaniepokoiły Michałka. Rzekł zatem:

— Niech tam moja krzywda będzie panu pisarzowi na zdrowie!

I opuścił fabrykę.

¹³oszwabić (daw., pot.) — oszukać. [przypis edytorski]

A że widać i pisarza nie bardzo ciągnęło do policji, choć go tam znali, więc skończyło się na strachu...

Chłop znalazł się teraz jak w szczerym polu. Minął swoją ulicę, wszedł na drugą i trzecią, wszędzie wstępując, gdzie zobaczył czerwone ściany i parę słupów wbitych w ziemię. Ale roboty były już ukończone, albo kończyły się, a gdy pytał: czy go tu nie przyjmą? — nawet nie odpowiadano.

Przełaził tak jeden dzień i drugi, omijając stójkowych¹⁴, żeby go nie zaczepili o paszport. Garkuchni z ciepłą strawą nie mógł znaleźć, więc żył kiszkami ze krwi i słoniny, chlebem, śledziem i popijał wódką.

Wydał już rubla, nie używszy nic dobrego. Sypiał pod parkanami, i tęsknił do towarzystwa ludzkiego, bo nie miał do kogo gęby otworzyć.

Przyszła mu myśl, że może by lepiej wrócić do domu? Więc pytał przechodniów: gdzie tu do kolei? Idąc za ich wskazówkami, trafił na kolej, ale — nie na swoją.

Zobaczył jakąś stację wielką, ludną i pełno domów w koło niej, a szyn ani śladu.

Zmieszał się bardzo i zląkł, nie wiedząc, co się stało? Aż mu dopiero jakaś litościwa dusza wytłumaczyła, że są jeszcze inne koleje, ale — za Wisłą.

Teraz przypomniał sobie, że szedł tu przez most. Więc przenocowawszy gdzieś w rowie, pytał się nazajutrz o drogę do mostu. Opowiedzieli mu dokładnie: gdzie trzeba iść prosto, gdzie na lewo, a gdzie na prawo i gdzie skręcić. Zapamiętał sobie wszystko, ale jak zaczął iść i skręcać, tak trafił do Wisły, a mostu nie znalazł.

Wrócił tedy ku miastu. Na nieszczęście deszcz zaczął padać, Ludzie chowali się pod parasole, a kto parasola nie miał, uciekał. Michałko nie śmiał na taką ulewę zaczepiać przechodniów i pytać o drogę.

W czasie największej nawałnicy stanął pod murem skulony, zziębły w swojej przemokłej parciance, i pocieszał się tym, że deszcz choć umyje mu boscie nogi.

I gdy tak stał poblady, a z długich włosów woda spływała mu za koszulę, zatrzymał się przed nim jakiś pan.

— A co to, ubogi? — zapytał pan.

— Ni.

Pan zrobił parę kroków naprzód i znowu wrócił z pytaniem:

— Ale jeść ci się chce?

— Ni.

— I nie zimno ci?

— Ni.

— Osieł jakiś — mruknął pan.

A potem dodał:

— Ale dziesiątkę byś wziął?

— Jakby pan dali, tobym wziął.

Pan dał mu złotówkę i odszedł, mrużąc.

Potem znowu zatrzymał się, patrzył na chłopca, jakby wahał się, ale nareszcie poszedł naprawdę.

Michałko trzymał w garści złotówkę i mówił do siebie zdziwiony:

— Nie bój się, jakie to tu są dobre panowie!...

Wtem przyszło mu na myśl, że taki dobry pan może by mu pokazał drogę do mostu?... Ale — już było za późno.

Noc nadeszła, zapalono latarnie, i deszcz się wzmógł. Chłop szukał ulic, gdzie było najciemniej. Skręcił raz i drugi. Spozrzegł nowe budowle i nagle poznał ulicę, na której przed kilku dniami pracował.

Oto tu bruk się kończy. Tu parkan. Tam skład węgli, a tam — jego dom. W kilku oknach palą się światła, a przez otwartą bramę widać niewykończone oficyny.

Chłop wszedł na podwórze. Gdzie jak gdzie, ale tu sprawiedliwie należał mu się nocleg. Przecie on ten dom budował.

— Hej! Hej! A gdzie to? — krzyknął za nim, od schodów, człowiek odziany w tęgi kożuch.

Musiło już być chłodno na dworze.

¹⁴stójkowy — szeregowy policjant w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

Michałko odwrócił się.

— To ja — rzekł — idę spać do piwnicy.

Człowiek w kozuchu oburzył się.

— A cóż to dziadowski hotel, żebyście noclegi odprawiali?

— Ja tu przecie robiłem całe lato — odparł zafrasowany chłop.

W sieni ukazała się stróżowa, niespokojna o męża.

— Co się tu dzieje?... Kto to?... Może złodziej? — pytała.

— I, nie! Tylko ten oto gada, że robił przy fabryce, więc mu się tu nocleg należy...

Durnowaty!...

Michałkowi zaświeciły oczy. Roześmiał się i pobiegł do stróża.

— To wy z naszej wsi? — zawołał przejęty radością.

— A bo co? — spytał stróż.

— A bo tak na mnie wołacie, jak w naszej wsi... Ja przecie „durny Michałko”.

Stróżowa zachichotała, a jej mąż wzruszył ramionami.

— Żeś durny, to widać — rzekł.

— Ale ja nie ze wsi, ino z miasta. Z Łapów! — dodał takim tonem, że aż zesmutniały chłop westchnął:

— Oj, oj! To pewnie musi być takie miasto wielkie, jak Warszawa?

— Takie, nie takie — odparł stróż — ale zawsze miasto porządne.

Po chwili milczenia rzekł:

— A ty swoją drogą wynoś się, bo tu sypiać nie wolno.

Chłopu ręce opadły. Żałośnie spojrział na stróża i spytał:

— Gdzież ja pójdę, kiedy tak leje?

Trafność tej uwagi uderzyła stróża. Jużci prawda: dokąd on pójdzie, kiedy tak leje?

— Ha! — odparł — To i zostań, kiedy tak leje. Ino niech ci się w nocy nie zechce kraść. A jutro, zmykaj skoro świt, żeby cię gospodarz nie wypatrzył. Bo to bystry pan!

Michałko podziękował, poszedł do oficyn i po omacku wlaź do znajomej piwnicy.

Roztarł skostniałe z zimna ręce, wykręcił zmoczoną parciankę i legł na okruchach cegieł i na wiórach, które sobie dawniej zniósł w to miejsce.

Gorąco mu nie było, owszem — nawet trochę chłodno i mokro. Ale on od dziecka przywykł do nędzy, więc na obecne niewygody wcale nie zważał. Gorzej go nudziła myśl: co począć? Czy szukać roboty w Warszawie, czy wracać do domu? Jeżeli szukać roboty, to gdzie i jakiej? A jeżeli wracać do domu, to którędy i po co?

Głodu nie obawiał się. Miał przecie dwa ruble, a zresztą — alboż głód dla niego nowina?...

— Ha! Wola Boska — szepnął.

Przestał kłopotać się jutrem i cieszył się dniem dzisiejszym. Na dworze deszcz lał ciurkiem. Jakby to źle było spać dziś w rowie, a jak porządnie jest tutaj!

I zasnął, zwyczajnie jak strudzony chłop, który gdy mu się co przyśni, to mówi, że go nawiedzały dusze.

A jutro... Będzie co Bóg da!

Z rana wypogodziło się, nawet błysnęło słońce. Michałko jeszcze raz podziękował stróżowi za nocleg i wyszedł. Był zupełnie rześki, choć mu się od wczorajszego deszczu lepiły włosy, a parcianka stężała jak skóra.

Chwilę postął przed bramą, namyślając się dokąd iść: w lewo, czy w prawo? Na rogu zobaczył otwarty szynk, więc wstąpił na śniadanie. Wypił duży kielich wódki i, weselszy, powlókł się w tę stronę, gdzie było widać rusztowania.

— Czy szukać roboty? Czy wracać do domu? — myślał.

Wtem, gdzieś niedaleko rozległ się huk, podobny do krótkiego grzmotu; potem drugi, głośniejszy.

Chłop spojrział.

O paręset kroków na prawo, widać było szczyty rusztowań, a nad nimi jakby czerwony dym...

Stało się coś niezwykłego. Michałka ogarnęła ciekawość.

Popędził w tamtą stronę, poślizgując się i brnąc w kałużach.

Na niebrukowanej ulicy, gdzie stało ledwie kilka domów, kręcili się strwożeni ludzie. Krzyczeli i pokazywali sobie rękoma niewykończoną budowlę, przed którą leżały deski, połamane słupy i świeże gruzy. Nad wszystkim unosił się czerwony pył cegły.

Chłop przybiegł bliżej. Tam już zobaczył, co się zdarzyło.

Oto — nowy dom upadł.

Cała jedna ściana rozsypała się od góry do dołu, a druga — w większej części.

W poszczerbionych murach wisiały futryny, a duże belki przeznaczone do dźwigania sufitów opadły, pocięły się i potrzaskały, jak wióry.

W oknach sąsiednich domów ukazały się zalęknione kobiety. Ale na ulicy, prócz robotników, było ledwie kilka osób. Wieść o wypadku nie zdążyła jeszcze do środka miasta.

Pierwszy oprzytomniał główny majster.

— Czy nie zginął kto? — pytał drżący.

— Zdaje się, że nie. Wszyscy byli na śniadaniu.

Majster począł rachować swoich, ale wciąż mylił się.

— Czeladnicy są?...

— Jesteśmy!...

— A pomocnicy?...

— Jesteśwa!...

— Jędrzeja nie ma!... — odezwał się jeden głos.

Obecni na chwilę zaniemieli.

— Tak, on był w środku...

— Trzeba go szukać!... — rzekł majster ochryplym głosem. I poszedł ku przewróconemu domowi, a za nim kilku śmielszych. Michałko machinalnie zbliżył się także.

— Jędrzeju!... Jędrzeju! — wołał majster.

— Usuń się pan! — ostrzegli go.

— Ta ściana ledwo wisi.

— Jędrzeju!... Jędrzeju!...

Z wnętrza domu odpowiedział jęk.

W jednym miejscu ściana była rozdarta na szerokość drzwi.

Majster zabiegł z tamtej strony, zajrzał, i schwycił się oburącz za głowę. Potem jak szalony popędził do miasta.

Za ścianą wił się w boleściach człowiek. Obie nogi zdruzgotala i przycisnęła mu belka. Nad nim wisiało urwisko muru, który pękał coraz mocniej i lada chwilę mógł się oberwać.

Jeden z cieśłów począł oglądać miejscowość, a skamienieli z trwogi robotnicy patrzali mu w oczy, gotowi pójść, jeżeli ratunek jest możliwy.

Ranny konwulsyjnie wykręcił się i stanął na dwu rękach.

Był to chłop. Miał czarne z bólu usta, szarą twarz i zapadłe oczy. Patrzył na ludzi stojących o kilkanaście kroków od niego, jęczał, ale wzywać o ratunek nie śmiał. Mówił tylko:

— Boże mój!... Boże miłosierny!...

— Tu nie można wejść! — rzekł głucho cieśla.

Gromada cofnęła się w tył.

Między nimi stał Michałko, przerażony może więcej, niż inni.

Strach, co się z nim dzieło!... Czuł wszystek ból rannego, jego bojaźń, rozpacz, a jednocześnie czuł jakąś siłę, która popychała go naprzód...

Zdawało mu się, że w tłumie nikt, tylko on jeden ma obowiązek i — musi ratować człowieka, który przyszedł ze wsi na zarobek. I w tej chwili, kiedy inni mówili sobie: „pójde?”, on myślał:

— Nie pójdę! Nie chcę!

Obejrzał się bojaźliwie. Stał sam jeden przed gromadą, bliżej muru, niż inni.

— Nie pójdę!... — szeptał, i — podniósł drag, który leżał mu prawie przy nogach.

Między ludźmi zaszemrano:

— Patrzcie! ... Co on robi?

— Cicho!

— Boże miłosierny, zmiłuj się! — wołał ranny, szlochając z bólu.

— Idę! Idę!... — rzekł Michałko i — wszedł między gruzy.

Bohaterstwo

— Zginiecie obaj! — krzyknął cieśla.

Michałko już był przy nieszczęśliwym. Zobaczył jego zdruzgotane nogi, kałużę krwi, i pociemniało mu w oczach.

— Bracie mój! Bracie!... — szeptał ranny i objął go za kolana.

Chłop podsunął drąg pod belkę i rozpaczliwym ruchem podważył ją. Rozległo się trzeszczenie, a z wysokości drugiego piętra spadło kilka kawałków cegły.

— Wali się!... — krzyknęli robotnicy, rozbiegając się.

Ale Michałko nie słyszał, nie myślał, nie czuł nic. Silnym ramieniem podparł znowu drąg i już całkiem usunął belkę ze zmiażdżonych nóg leżącego człowieka.

Z góry posypały się gruzy. Czerwony pył zakłębił się, zgęstniał i wypełnił wnętrze budynku. Za ścianą słychać było jakieś szamotanie się. Ranny jęknął głośniej i nagle ucichł.

W otworze rozdartej ściany ukazał się Michałko zgięty, z trudnością dźwigający rannego. Powoli przeszedł niebezpieczną granicę, i, stanąwszy przed tłumem, zawołał z naiwną radością:

— Jedzie!... Jedzie. Ino mu tam jeden but osta!...

Robotnicy schwycili rannego, który omdlał, i ostrożnie zanieśli do najbliższej bramy.

— Wody!... — wołali.

— Octu!...

— Po doktora!...

Michałko powlókł się za nimi, myśląc:

— To ci dobry naród w tej Warszawie! Nie bój się!

Zobaczył, że ma ręce zakrwawione, więc umył je w kałuży i stanął pod bramą domu, gdzie leżał ranny. Do środka nie pchał się. Alboż on doktor? Czy mu co poradzi?

Tymczasem ulica poczęła się bardzo zaludniać. Biegli ciekawi, pędziły dorożki, a nawet z daleka słychać było dzwonki straży ogniowej, którą także ktoś zaalarmował.

Nowy tłum, już takich, którzy byli chciwi wrażeń, skupił się przed bramą, a gorętsi pięściami torowali sobie drogę dla zobaczenia krwawej hecy.

Jednemu z nich stojący przy furtce Michałko zawadzał.

— Usuń się, gapiu jakiś! — krzyknął jegomość, widząc, że bosy chłop nie bardzo ustępuje pod naciskiem jego ręki.

— A bo co? — spytał Michałko, zdziwiony tym zapędem.

— Coś ty za jeden, zuchwalcze jakiś? — wrzasnął ciekawy.

— Co to, nie ma policji, żeby takich próżniaków rozpędzała?...

— Oj! Na złe idzie!... — pomyślał chłop i zląkł się, żeby go za taki występek nie wsadzono do kozy.

I, nie chcąc budzić licha, wcisnął się między gromadę...

W kilka minut później zaczęto z bramy wołać tego, który biedaka wyniósł spośród gruzów.

Nie odezwał się nikt.

— Jak on wygląda? — pytano.

— To chłop. Miał białą sukmanę, okrągłą czapkę i był bosy...

— Nie ma tam takiego na ulicy?

Poczęto szukać.

— Był tu taki — krzyknął ktoś — ale poszedł!

Rozbiegła się policja, rozbiegli się robotnicy, i — nie znaleźli Michałka.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/prus-michalko>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, *Nowele Warszawskie*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Londyn 1946

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Koziół, Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Paweł Koziół.

ISBN 978-83-288-0741-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).